

Ludwik Wołodkiewicz

50 lat Miodowa - Leszno : wspomnienia

Palestra 42/11-12(491-492), 156-166

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



”Palestra” przed laty

Rok 1958 (nr 5-6)

Ludwik Wołodkiewicz, adwokat

50 lat Miodowa – Leszno Wspomnienia

Przeszło 50 lat już upłynęło, jak jestem w stałym kontakcie z naszym światem prawniczym. Wiele się zmieniło w tym okresie, dużo ludzi przesunęło się przed oczami, niektórzy nawet bardzo interesujący. To, co bezpośrednio przeżyłem, zebrane jako wspomnienia, może mieć pewną treść i rzucić światło na niektórych ludzi i ich obyczaje, dlatego też w formie gawędy chcę wspomnienia te utrwalić. Nie będzie to monografia o najwybitniejszych prawnikach polskich z tego okresu – ot, wycinek z życia i nic więcej. Wybaczą mi ci koledzy, których pomnę we wspomnieniach, chociaż na pewno takich wspomnień są warci. Bezpośredniość tych wspomnień z natury rzeczy ogranicza ich zakres do tych osób, z którymi bliżej się stykałem.

Będąc studentem Uniwersytetu Petersburskiego w latach 1907–1911, często bywałem w Warszawie i praktycznie stykałem się z życiem sądowym, ponieważ śp. mój ojciec był komornikiem sądowym. Słyszałem wiele opowiadań o wybitnych prawnikach, o mecenasach Pełowski, Wróblewski, Ancu, Duninie i całym szeregu innych. Nie będę tu powtarzać przywiązanej do ich postaci anegdotycznej treści, bo rzeczy te są znane, a poza tym nie byłyby one, że tak powiem, z pierwszej ręki.

Dla wyjaśnienia zaznaczam, że kolejność nazwisk wymienionych w niniejszych wspomnieniach nie odgrywa żadnej roli.

Już jako uczeń gimnazjalny niejednokrotnie słyszałem wypowiedziane nazwisko: Korwin-Piotrowski. Widywałem też czasami tego, który je nosił, w Alejach Ujazdowskich w kabriolecie, z kozakiem na koźle. Był to okazały, pokaźnej tuszy jegomość, o którym chodziły po Warszawie przeróżne gawędy. Między innymi i ta, że nieprzychylnie traktowany przez rodziców panny N., rozegrał ostateczną stawkę w bardzo oryginalny sposób. Kiedy panna N., z matką pojechała do Ciechocinka na kurację, Korwin

podążył za nimi swoim kabrioletem. Nie przyjęty przez panie pod pozorem, że są nieobecne, kazał pod drzwiami ich apartamentu w hotelu Millera położyć futro i oświadczył, że poczeka pod drzwiami na ich powrót. Na takie *dictum* panie musiały się z nim rozmówić i definitywnie dać mu kosza.

Po tym „wyczynie” aż huczało w Warszawie, która w ubiegłym wieku nie była zbyt wielkim miastem.

Pamiętam również inny huczek, jaki powstał po jakimś pojedynku Korwin-Piotrowskiego. Za zastrzelenie w tym pojedynku jakiegoś oficera rosyjskiego, Korwin-Piotrowski, jako szlachcic, został skazany na karę twierdzy, wkrótce potem łaską cesarską zwolniony od odcierpienia kary. Nic więc dziwnego, że Korwin uchodził za kogoś, z kim trzeba było postępować bardzo ostrożnie.

Ja zetknąłem się z nim bezpośrednio w 1911 roku, w pierwszych miesiącach aplikacji sądowej. Wiedziałem o nim, że jest „zadziora”, że miał kiedyś spory majątek, że jest bratem Gabrieli Zapolskiej i że politycznie skłania się do konserwy. Ze względu na postępowe poglądy ówczesnej młodzieży, których też byłem wyznawcą, odczuwałem pewien rodzaj powściągliwej rezerwy w stosunku do Korwina.

Po pierwszej mojej sesji sądowej (aplikanci na sesję wkładali mundur urzędniczy) szedłem korytarzem, a przede mną toczyła się bardzo obfita w kształty sylwetka Korwina. Na wprost nas szedł w mundurze ówczesny prezes Sądu Okręgowego, Timofiejew. Korwin, zginając się po sam pas i nisko pochylając głowę, mocnym basem zahuczał: „Czest’ imieju kłaniatsia Waszemu Priewoschoditelstwu (Mam honor najniżej kłaniać się Waszej Ekscelencji)”. Doznałem wtedy uczucia pełnego niesmaku, bo choć rozumiałem – jako urodzony w niewoli – konieczność nienarażania się wrogowi i choć widziałem przejawy schlebiana, ale tylko ze strony ludzi słabych i zależnych materialnie od władzy, to jednak i towarzysko, i społecznie uważałem ten w moich oczach nadmiernie czołobitny ukłon Polaka za nieprzyzwoitość. Rozmyślając o tym usłyszałem ponownie stentorowy głos Korwina i zobaczyłem ten sam ukłon zredukowany już do 2/3, a przed Korwinem – w mundurze woźnego audiencjonalnego, którego Korwin witał po polsku: „Kłaniam się nisko panu woźnemu”.

Kiedy tegoż dnia tenże Korwin, który wczoraj witał się ze mną „Dzień dobry, Kolego”, a dzisiaj, widząc mnie w mundurze, zawołał z takim samym pochyleniem jak dla woźnego: „Mam honor powitać pana sędziego” – rozumiałem, że w tej rzekomej uniżoności Korwina tkwiła głęboka impertynencja i że taki sam ukłon złożyłby mundurowi wiszącemu na kołku. Moskale rzeczywiście tak pojmowali jego rzekomą czołobitność.

Dalsze z nim stosunki miały miejsce przez bliższe moje kontakty z mec. Kazimierzem Świeszewskim. Korwin bardzo często przychodził do kawiarni, w której „rezydował” mec. Świeszewski, a ja ze względu na osobistą znajomość ze Świeszewskim byłem tolerowany przy ich stoliku.

Okres świetności minął. Korwin przed wybuchem I wojny światowej był już dobrze podtatusiałym panem, jeszcze ubranym starannie i czysto, ale w czasie I okupacji trochę się zewnętrznie zaniedbał. Pamiętam jego stały zwrot przy powitaniu wypowiedziany mocnym głosem: „Oj czasy, czasy”. U siebie w domu witał każdego wchodzącego gromkim „Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Za biurkiem miał na ścianie rozpięty czarny, duży krzyż. Czy religijność jego była naturalna i szczerą, czy też stanowiła dekoracyjną stronę i pewien styl, trudno mi powiedzieć, bo niewątpliwie zdradzał on duże tendencje do pozy.

Nawiązując do stolika mec. Świeszewskiego, zajmę się teraz jego osobą. Był to wysoki, otyły mężczyzna z grubymi wargami i wiecznym cygarem w ustach. Kpiarz i facejonista zawołany. Pozornie cynik, a w gruncie rzeczy bardzo dobry i uczynny człowiek. Wysoka inteligencja, lotność, język cięty, czasami bardzo zjadliwy. Tryb życia bardzo oryginalny. Rano sądy, w południe śniadanie u Arkusza (handelek win, pokoje do śniadań) na rogu Miodowej i Kapitulnej, znów sądy, potem powrót do domu i sen. Od 19 przyjmowanie interesantów, a o 21 kawiarnia: najpierw Udziałowa (róg Alei Jerozolimskich i Nowego Świata), w której pobyt trwał bardzo długo, potem krótka zmiana na Café Varsovie (Nowy Świat 5) i już do końca kawiarnia hotelu Polonia. Koło 12 w nocy kolacja u Bachusa, róg Marszałkowskiej i Widok.

Nie myślę się chyba, jeśli powiem, że nie było takiego dnia w roku, żeby mec. Świeszewski zmienił tryb życia. A trzeba się było wczuć w jego stan, kiedy wiedział, że pierwszego dnia Świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy kawiarnie są nieczynne! Nie było deszczu czy pogody, które mogłyby go zatrzymać w domu.

Przy stoliku mec. Świeszewskiego cyrkulowali adw. Bronisław Koerer, adw. Roman Łabędzki, Meklemburg, konsul Loevenberg, Korwin-Piotrowski; adw. Luksemburg, naczelnik wydziału statystycznego magistratu Zakrzewski, na zmianę ktoś z braci Groniewskich, dwaj bracia Lubodzieccy i szereg innych. Ja starałem się tam bywać, kiedy tylko mogłem, bo stolik ten stanowił dużą atrakcję dla młodego człowieka. Ze mną bywał przyjaciel mój, ówczesny aplikant sądowy, adwokat Stefan Sztromajer.

My dwaj młodzi w tym towarzystwie chłopcy prawo debitu zawdzięczaliśmy temu, że mec. Świeszewski był w swoim czasie sekretarzem Zjazdu sędziów pokoju, tzw. Wiejskiego, a mój ojciec sekretarzem takiegoż Zjazdu, ale Miejskiego; stąd zażyłe starszych panów stosunki i moje z tego tytułu uprawnienia. Stolik mecenas Świeszewskiego był kuźnią dowcipów i powiedzonek, które obiegały potem całą Warszawę (o niektórych z nich – dalej).

Mecenas Świeszewski miał doskonałą klientelę, przeważnie rekrutującą się z podwarszawskich tak zwanych „badylarzy”, i do połowy pierwszej okupacji prowadził prawie wyłącznie sprawy cywilne z pomyślnymi wynikami tak co do samej rzeczy, jak i wysokości pobranych honorariów. W drugiej

połowie okupacji w zasadzie przerzucił się na praktykę karną i osiągnął w niej bardzo poważne sukcesy. Nigdy nie należał do grupek adwokackich związanych z paru wybitniejszymi obrońcami karnymi: zawsze szedł samopas.

Pozorne sławy bały się jak ognia jego złośliwości i ciętych powiedzeń, a nawet uznane wielkości wołały go unikać. *A propos*: śmieszne było jego poznanie się z młodym wtedy moim kolegą i rówieśnikiem Mieczysławem Ettingerem, synem znakomitego przedstawiciela obrońców karnych, Henryka Ettingera. Kiedy Miecio mu się przedstawił (był taki zwyczaj w ówczesnej palestrze, że młodzi koledzy uważali za obowiązek przedstawianie się starszym), Świeszewski zawołał: „Co? Kolega taki młody, a już Ettinger!”.

W pierwszym okresie okupacji Świeszewski uskarżał się, że trochę zmniejsza mu się klientela, a na moją uwagę, że na prowincji koledzy dobrze zarabiają, odpowiedział, że przecież nie może wyjechać z Warszawy, bo odpadną kulturalne rozrywki, jak koncerty i teatr. Kiedy powiedziałem, że nigdy chyba nie chodzi do teatru, bo przecież musi być w Udziałowej, z niezmaconym spokojem odpowiedział: „Tak kolego, ale będąc w Warszawie – mogę”.

Ja osobiście raz jeden stałem się ofiarą jego ciętego języka. Kiedy w 1915 roku, po utworzeniu sądów obywatelskich, wszedłem do Udziałowej, Świeszewski z całym namaszczeniem podniósł się od stolika i powiedział do mnie: „Uszanowanie panu sędziemu”. Odpowiedziałem, że przecież nie jestem sędzią, a Świeszewski z niezmaconym spokojem dodał: „To dziwne, kolega taki młody – i nie sędzia”. Złośliwość tego powiedzenia staje się zrozumiała na tle ówczesnej sytuacji w kraju. Po opuszczeniu Warszawy przez Rosjan w dniu 1 sierpnia 1915 r. i wejściu Niemców, powołany w ostatnim okresie panowania rosyjskiego Komitet Obywatelski przystąpił do tworzenia załączków samorządu i państwowości, a m.in. do tworzenia własnego sądownictwa. Wobec tego, że starsza generacja odnosiła się do tych poczynań z rezerwą, Komitet Obywatelski oparł się wtedy na młodszym elemencie adwokackim, zrzeszonym w Kole Prawników, i z jego szeregów powołał wielu sędziów. Zresztą samodzielny żywot tego sądownictwa był krótki, bo zaledwie trzymiesięczny.

W 1917 roku, już pod egidą *par force* tworzonej polskiej państwowości w postaci Rady Regencyjnej, powstały sądy królewsko-polskie. Straciłem wtedy przez 3 lata kontakt z Warszawą, sędziując, a potem adwokatując w Łomży (o łomżyńskiej adwokataturze opowiem oddzielnie).

Po powrocie do Warszawy i zajęciu się praktyką, siłą rzeczy nie mogłem bywać stale w Udziałowej, ale ilekroć tam wstąpiłem, spotykałem zawsze Świeszewskiego. Będąc czasami obecny przy wprowadzaniu przez niego spraw, nie mogłem wprost pojąć, kiedy ten człowiek zdobywa wiadomości prawnicze (przytoczony wyżej tryb życia) i kiedy czyta ustawy. Raz w pewnym procesie cywilnym wynikała zupełnie przygodnie kwestia zastosowania

przepisów traktatu wersalskiego. Świeszewski bez zająknięcia zacytował odpowiedni paragraf i tekst przepisu, który nie mógł być w częstym użyciu. Ponieważ uważałem, że zachodzi tu improwizacja, zanotowałem powołany artykuł, by skontrolować jego treść. Kiedy w domu zajrzałem do tekstu, ze zdumieniem stwierdziłem, że Świeszewski nic nie przekreślił. Spotkawszy się z nim u Arkusza, zapytałem wręcz o to. Świeszewski wyjaśnił mi, że zawdzięcza to swej dobrej pamięci. Przy okazji – i jakby na potwierdzenie tego – opowiedział mi pewne zabawne zdarzenie. Jeszcze jako student miał okazję być kiedyś na czwartku literackim u Deotymy (Łuszczewska). Tak się złożyło, że Deotyma była w nastroju i uproszona – improwizowała. Kiedy wzruszeni słuchacze uspokoiли się nieco, Świeszewski wstał nagle i oświadczył: „Ja ten wiersz znam, pozwoli wieszczka, że go wypowiem” – i powtórzył dosłownie to, co było w improwizacji. Wszyscy się stropili, a Świeszewski, całując ręce improwizatorki, wyjaśnił jej, że pierwszy raz słyszał improwizację i powtórzył ją z pamięci.

Oczywiście przy takiej pamięci nie istniało dla niego zagadnienie notatek.

Wiele było śmiechu, jak Świeszewski, stając w sprawie z Henrykiem Konicem jako przeciwnikiem, po wypowiedzeniu obrony przez mecenasa Konica (profesor prawa cywilnego na Uniwersytecie Warszawskim) z zimną krwią oświadczył: „Z dużym zainteresowaniem wysłuchałem wywodów kolegi adwokata Konica, nie mogę ich jednak podzielić, bo pan «profesor Konic» na takiej to a takiej stronie swojego podręcznika «Prawa cywilnego» wypowiada odmienny pogląd”. I tu z pamięci przytoczył długi cytat z książki swego przeciwnika.

Niezapomniane są dowcipy Świeszewskiego w okresie kołowrotekó ministerialnych. Wszystkie zmiany personalne z okresu do 1926 roku spotykały się z jego ciętymi, a nieraz bardzo złośliwymi powiedzeniami. Jedno tylko było trochę nieprzyjemne, że w tych powiedzeniach niejednokrotnie wykipował ludzi na podstawie takich czy innych defektów fizycznych. Niektóre jego powiedzonka chodziły z ust do ust. Na przykład adwokat J. nie grzeszył nadmierną czystością. Świeszewski puścił zaraz kawał: „Kto nosi czystą bieliznę? Mec. J.”.

Był bardzo godny i poważny człowiek, mecenas Fabiani, zawsze starannie i dobrze ubrany, w zachowaniu powściągliwy i zrównoważony, mający klientelę arystokratyczną. Świeszewski, niby przez omyłkę, mówiąc o nim, użył zwrotu „mecenas Pawiani”, co przyrosło do mecenasa na dłuższy okres.

W okresie pierwszej okupacji niemieckiej był taki paromiesięczny okres, że Niemcy wyznaczyli sędziów okręgowych Niemców i z udziałem tłumacza sądzili po niemiecku sprawy. Świeszewski dawał sobie znakomicie radę bez tłumacza. Na jednej z rozpraw wywodził coś z nieodłączną ręką w kieszeni. Niemiec zwraca mu uwagę, że trzyma rękę w kieszeni. Świeszewski z niezmaconym spokojem i z naciskiem oświadcza: „Tak, ale w swojej”. Odpowiedź bardzo śmiała i odważna, a jednocześnie pełna złośliwej aluzji.

Kończąc me wspomnienia o tej charakterystycznej sylwetce, muszę tu jeszcze powiedzieć w paru słowach o ostatnich chwilach jego życia. Bywalczy Polonii zaczęli się rozbijać, Świeszewski przestał do niej przychodzić. Mając z nim zawsze miłe kontakty, odwiedzałem go parokrotnie na Wspólnej. Na jakiś tydzień przed śmiercią Świeszewski bawił mnie takim oto dialogiem. Na zwykłe pytanie, jak się czuje, oraz na wyrażoną przeze mnie nadzieję, że wkrótce powróci do pracy, Świeszewski odpowiedział: „Kolego, przecież ja i teraz pracuję. Ot, choćby wczoraj przyszedł do mnie Łopacki (znany przedsiębiorca pogrzebowy – uwaga moja L.W.), aby wziąć miarę na trumnę. Podał mi wysoką cenę ze względu na rozmiar trumny, a ja mu tłumaczyłem, że do śmierci jeszcze schudnę, musi więc liczyć taniej”. Po takim makabrycznym dowcipie gawędził ze mną bardzo przyjemnie.

Chciałbym teraz poświęcić parę słów obrońcy sądowemu Bentkowskiemu. Podstawą jego obrony stanowiło bardzo często kłanianie się sądowi. Chudy, drobny, w poplamionym i zatłuszczonym fraku – bardzo zabawnie wyglądał. Na Mokotowie przy ulicy Langnerowskiej (było to już za tzw. roгатką) był sąd gminny (sądy gminne stanowiły odpowiednik sądów pokoju dla wsi, a sędziowie gminni wchodziłi w skład Zjazdu sędziów pokoju). Sędzią był właściciel Skolimowa Prekier, Polak, zacny człowiek, o wysokiej inteligencji i dowcipie (z wykształcenia prawnik i filolog). Prekier sądził jak rasowy sędzia pokoju. Przeważnie doprowadzał do ugody, teren i ludzi znał znakomicie, a był dowcipny i „odwalał” kawały. Wkrótce po ustaniu I okupacji sprawy mieszkaniowe były bardzo przykre i na tym tle wynikały przewlekłe spory. Bentkowski broni pozwanego. Świadkowie ustalają, że pozwany obrzydza współżycie, załatwiając krótkie potrzeby fizjologiczne pod oknem gospodarza. Powód popiera pozew, a sędzia Prekier, zwracając się do Bentkowskiego, pyta: „A co pan powie w obronie swego moczodawcy?”. Scen tego rodzaju było w tym sądzie wiele. Dlatego też kiedy nowe sądownictwo zaczęło przystrajać się w uroczyste formy (czasami niepotrzebnie), sędziego Prekiera przeniesiono na emeryturę.

Z największym szacunkiem muszę parę słów powiedzieć o adwokacie Benzefie, którego raczej z daleka „podglądałem”, ale z którym nie wiązały mnie bezpośrednie stosunki.

Sądy pokoju były rozrzucone na ówczesnych peryferiach Warszawy (sędziowie otrzymywali ryczałt na mieszkanie 1000 rubli rocznie i aby zaoszczędzić na komornym, wynajmowali tańsze lokale w takich punktach, jak Wołyńska, Dobra, Nowy Zjazd, Brukowa itp.). Benzef miał bardzo liczną klientelę tak w sądach ogólnych na Miodowej i Placu Krasińskich, jak i w sądach pokoju. Był to człowiek o niewielkich potrzebach osobistych, poza tym niezwykle bezinteresowny. Zagadnienie honorarium nie istniało dla niego: brał to, co mu wetknięto w rękę, a jeżeli suma była większa (stawka Benzefa wynosiła 1–3 rb. w sądzie pokoju, 3–5 rb. w sądach ogólnych), to nie wykorzystaną resztę składał w aktach i zwracał potem klientom. Przy takim

nastawieniu do pieniędzy nie korzystał z dorożek i biegał na terminy – dla pośpiechu – nie po chodniku, gdzie był tłok, lecz jezdnią koło rynsztoków. Mały, zasuszony i pomarszczony, bez zębów, stanowił sylwetkę bardzo charakterystyczną, przyznać zresztą trzeba – znaną w całej Warszawie, szanowaną przez swoich i obcych, a nawet kochaną. Jeżeli dodać do tego, że w dni upalne biegał po Warszawie w wyrudziałym fraku i jakichś kolorowych spodniach, to obraz mamy kompletny.

Ponieważ niektórym opis fraka może się wydać niejasny, zaznaczam, że adwokaci do wybuchu I wojny światowej stawali przed sądami we frakach, traktowanych tak jak mundur i często narzucanych na kolorowe spodnie. Adwokaci przysięgli mieli wpinane srebrne paletki z wyrytym „swodem zakonow” (słupek z ksiąg, na górze korona; stąd powiedzenie Puszkina: „W Rossii niet zakona, a tolko stołp i na stołpie korona”), pomocnicy adwokatów wpinali emaliowane znaczki uniwersyteckie, a obrońcy sądowi poza frakiem żadnych znaczków nie wpinali. W okresie I okupacji wprowadzono jako strój do ciemnego garnituru starfy (adwokaci lila, sędziowie zielone, prokuratura czerwone) z emaliowanym znakiem przedstawiającym orła w środku i z napisem w otoku „Honor i Ojczyzna”. Potem wprowadzono togi, które obowiązują do dziś.

Rozumując życiowo, trzeba stwierdzić, że Benzef był jakby mnichem w klasztorze, któremu było na imię pomoc i obrona każdego, kto tego potrzebował.

Tego rodzaju typem była czcigodna sylwetka mecenasa Stanisława Szczepańskiego, o którym muszę się wypowiedzieć z najgłębszym szacunkiem. Mnich w klasztorze prawa – oto krótka, ale dosadna charakterystyka tego człowieka. Adwokat o głębokiej wiedzy, niezwykła sumienność i staranność w opracowaniu powierzonych spraw „benedyktyńska pracowitość” – oto bez żadnej przesady cechy charakterystyczne mecenasa Szczepańskiego.

Materialnie niezależny, bo był długoletnim radcą prawnym Banku Dyskontowego. Poza tym zarabiał dobrze. Był również niezależny w zakresie stosunków rodzinnych jako kawaler, mający na swym utrzymaniu tylko niezamężną siostrę.

Nikt tak dobrze i prosto nie umiał nazywać rzeczy po imieniu i mówić prawdy prosto w oczy jak mecenas Szczepański. Drażniła go niesumienność w pracy i z największym lekceważeniem traktował kolegów, którzy po łebkach traktowali sprawy, szukając w nich łatwego zysku i reklamy. Bywały wypadki, że na konferencjach u siebie niejednokrotnie przy klientach sponiewierał tzw. mecenasa, który bez przygotowania i pogłębienia kwestii przychodził do „Szczepana” na poradę. Mecenas Szczepański ostro przeciwstawiał się wszelkiej łatwiznie, a pytany o niektóre zagadnienia na korytarzu przez kolegów spryciarzy, zbywał ich pogardliwym milczeniem lub nieprzyjemnym warknięciem odsyłającym do kodeksu lub ustawy.

Chcąc poważnie i starannie prowadzić skomplikowaną sprawę cywilną, każdy rozsądny i sumienny adwokat opracowywał materiały i przedstawiał je mec. Szczepańskiemu, a następnie, bazując na jego opinii, spokojnie przeprowadzał techniczną stronę procesu. Błędu w opiniach mec. Szczepańskiego nie było nigdy. Sądy rosyjskie, a potem polskie bardzo go szanowały.

Podstawę w jego obronach stanowiło badanie świadków, przy czym prawie nigdy przy tych czynnościach nie korzystał z zastępstwa kolegów. Starał się wyczerpać materiały w sprawie do końca. Jako przeciwnik mec. Szczepański był bardzo niebezpieczny, aczkolwiek nigdy nie używał żadnych chwytów czy sztuczek. Pamiętam, ile przeżyłem jako młody człowiek, kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z mec. Szczepańskim jako jego przeciwnik. Nauczyłem się wtedy w sprawie prawie każdej litery. Potem zawsze stawianie przeciwko mec. Szczepańskiemu było dla mnie świętem zawodowym.

Już po pierwszej wojnie zgłosiła się do mnie z poważnym procesem majątkowym starsza, godnie wyglądająca osoba i prosiła o pomoc. W toku rozmowy stwierdziłem, że korzystała ona z pomocy mec. Szczepańskiego, dlatego też zapytałem ją, po co szuka pomocy u mnie, ja bowiem nie stanowią tak wysokiej klasy. Damulka wyjaśniła mi, że docenia moją skromność, ale ma do mnie zaufanie; poza tym woli nawet przegrać sprawę, niż być opryskliwie traktowana przez swego własnego mecenasa, który na nią krzyczy. „Szczepan” rzeczywiście nie znosił kwilenia i bzdur, sam był rzeczowy i tego żądał od ludzi, dama zaś z tzw. półtoorej szlachty uważała, że należą się jej specjalne względy. Upewniwszy się przez telefon, że mec. Szczepański co do tej klientki zgłasza zupełne *désintéressement*, sprawę przyjąłem i przeprowadziłem pomyślnie.

Traktując ludzi trochę z wysoka, był mec. Szczepański jednym z najlepszych kolegów. Nie było pogrzebu kolegi – a zwłaszcza takiego, który nie błyszczał (czasami fałszywie) za życia – żeby nie było na nim mec. Szczepańskiego. Ludzie wiedzieli, że z nieboszczykiem niewiele go łączyło, mimo to jednak przekładał terminy sądowe i asystował na pogrzebie. Wdowom po kolegach świadczył dużo dobrego i miał swoje szablonowe wizyty świąteczne u pań, z którymi nic go nie wiązało poza wspomnieniami przeszłości dotyczącej zmarłego męża, kolegi. Żle się ułożyło życie naszego pokolenia, że nikt nie mógł być na pogrzebie śp. mec. Szczepańskiego, który zmarł w czasie powstania (zdaje się z głodu) i o którym nawet nie wiem, gdzie jest pochowany.

Nigdy nie zapomnę, kiedy na wygasającej sesji Sądu Apelacyjnego zastałem mecenasa na sali. Ponieważ już spraw nie było, zapytałem, czy czeka na sprawę, a on z całym spokojem wyjaśnił mi, że na dziś wyznaczono ogłoszenie wyroku. Pozwoliłem sobie dodać, że chyba szkoda czasu na takie czekanie, ale mój mecenas powiada: „Trzeba być, bo nie wiadomo jakie głupstwo przyjdzie do głowy wysokiemu sądowi”. Taka skrupulatność

w prowadzeniu spraw powodowała, że w sprawach mec. Szczepańskiego sąd z największą uwagą stawiał każdy przecinek, licząc się z tym, że każde niedopatrzenie lub błąd spotka się z bezlitosną krytyką.

W okresie drugiej okupacji wyrosłem już z okresu młodzieńczego i stawałem się częściowo równoprawnym partnerem Mecenasa. Spotkałem go kiedyś w bufecie Sądu Okręgowego. Kawa, gawęda... Po trochu dogadaliśmy się, że nie umie on poza kartkami nic zdobyć i bywa głodnawy. Śmiejąc się, zaproponowałem kotlet. Mec. Szczepański odmówił tłumacząc się, że to bardzo drogo, a poza tym nie ma pieniędzy. Zapewniłem go, że to będzie bardzo tanio, i poszliśmy na kieliszek wódki z dużym porządnym kotлетem na ulicę Miodową 21 (okupacyjny mały szyncelek utrzymywany przez kaszubkę wysiedloną znad morza). Starszy pan był zachwycony, że tak dużo i smacznie zjadł. Na drugi dzień spotyka się ze mną i prosi na śniadanie, chcąc mi jednocześnie zwrócić tych parę złotych, które wydałem wczoraj. Odmówiłem. Rewanż był bardzo przyjemny, zdaje się w Dziekance u Pawłowskiego. Nie mógł mój interlokutor wyjść z podziwu, że wszystko jest, czego człowiek zechce, i że ten niedostatek żywnościowy to tylko lokalne zagadnienie. W bliższych gawędach próbowałem go przekonać, że „nie trzeba trzymać” w garści kuponów i listów zastawnych (miał ich sporo) i mimo niższego kursu zdecydować się na sprzedaż. Zdaje się, że tylko częściowo go przekonałem, bo przyzwyczajenie do ulokowanej wartości oraz obawa, że ruszy się kapitał przeznaczony na zabezpieczenie starości, nie dały się przewyciężyć. W każdym razie po tych naszych rozmowach częściej urządzaliśmy sobie kotlety „schabowe” lub „cielece”, a mój godny kompan zawsze był z tego bardzo zadowolony.

Na marginesie trzeba zaznaczyć, że ciekawa jest reakcja, z jaką ludzie ustosunkowują się do wielu spraw. Mecenas Szczepański nie był ani skąpy, ani nieporadny życiowo, traktował jednak to, co było odłożone, jako rezerwę i nie umiał pogodzić się z faktem, że można to zużyć na bieżące utrzymanie. Moja skromna osoba sprawy te mu wyjaśniła.

Zamykając to wspomnienie o czcigodnym reprezentancie naszego zawodu prawniczego, nie mogę powstrzymać się od wyrażenia uczuć głębokiej czci dla tej oryginalnej i wartościowej jednostki. Społeczeństwo, które ma takich reprezentantów, godnie może współzawodniczyć z najlepszymi.

Adwokatura ówczesna dzieliła się wyraźnie na trzy grupy: kratkowców, prowadzących interesy i obrońców karnych. Stanisław Szczepański był wybitnie kratkowym adwokatem. Do tej samej grupy zaliczam mec. Wincentego Biskupskiego. Przystojny, siwy starszy pan ze starannie utrzymaną brodą, twarz spokojna i pełna powagi, praktyka rozległa, przede wszystkim tzw. kalekówki (sprawy o odszkodowanie ze nieszczęśliwe wypadki) i obrony konsystorskie. Był to ojciec przyjaciela mego, adwokata Mieczysława Biskupskiego (zamordowanego w Oświęcimiu). Proszę sobie uprzytomnić, jak wielką miałem przyjemność, kiedy siedząc na sesji jako

kandydat do posad sądowych, przewodniczący wydziału powiedział na naradzie do asystujących sędziów: „Tę sprawę musimy odłożyć, bo jak Biskupski powiedział, że ma pewien dokument, to na pewno tak jest, bo to poważny i uczciwy adwokat”. Ja, jako przyjaciel jego syna, miałem pełną satysfakcję, słysząc takie słowa uznania pod adresem jego ojca.

Trzeba wyjaśnić, że Rosjanie, aczkolwiek stanowili coś zupełnie odrębnego od nas, w wymiarze sprawiedliwości postępowali porządnie, a aplikanci asystowali przy wszystkich naradach. Stanowiło to znakomitą szkołę dla młodych ludzi i stwarzało dla nich znaczne perspektywy.

Mecenas Biskupski miał duże zainteresowanie społeczne, a nawet był jednym z organizatorów P.P.P. (Polska Partia Postępowa). Było to wprawdzie kanapowe stronnictwo, ale skupiało elementy inteligencji nie powiązane z Narodową Demokracją. Jeżeli się nie mylę, należał do tego stronnictwa de Rosset, późniejszy poseł, postać znana w Warszawie.

Poza pracą zawodową i życiem rodzinnym mec. Biskupski bywał często na śniadaniach, racząc towarzystwo zdrowym i niewymuszonym humorem, a czasami bardzo trafnymi powiedzeniami. Ktoś chwalił np. dziecko. W odpowiedzi mec. Biskupski najspokojniej dodaje: „Tak, każde dziecko jest genialne, ale ja zachodzę w głowę, skąd się potem biorą głupi ludzie”. Gest miał bardzo szeroki, a płacenie rachunku przez młodszego kolegę, który był dopuszczony do stolika mecenasa, było absolutnie niedopuszczalne. Kiedy raz chciałem się zrewanżować i poprosiłem o butelkę wina, zostałem skompromitowany, bo ten, któremu stawiałem, sam zapłacił rachunek, a mnie w dodatku ofukał i skrzyczał od smarkaczy. Wino było jednak wypite i humor tryskał.

Między urzędnikami sądowymi osoba mec. Biskupskiego wzbudzała szczerą kult, bo rzeczywiście miał dar utrzymywania dobrych stosunków z ludźmi, nie oglądając się wyłącznie na praktyczną tylko stronę tych stosunków.

Niestety, w okresie międzywojennym napłynęło trochę nowego narybku, a ten nie zawsze pomijał przy stosunkach z ludźmi „stronę praktyczną”. Był taki, wzięty nawet adwokat, kol. X, który nosił przy sobie różne gatunki papierosów, cukierki, czekoladki i bilety do kina. Częstował urzędników sądowych, zależnie od rangi i płci: jednego takim papierosem, drugiego – lepszym, jedną – cukierkiem, inną – czekoladką, a w wypadkach większej wagi wręczało się dyskretnie bilety do kina. Kolega X już nie żyje. Mały to był człowiek i trzeba stwierdzić, że przed I wojną dla takich ludzi nie byłoby miejsca w adwokaturze.

Oczywiście dużą rolę odgrywały warunki materialne, które jednak w okresie I okupacji, a potem po zakończeniu wojny bardzo się zmieniły. Przed pierwszą wojną słowo „adwokat” wystarczało jako legitymacja pewnego stanu posiadania. Jeżeli ktoś nie był opanowany jakimś specjalnym nałogiem, to przy mniejszych lub większych kwalifikacjach zawodowych, przy intensywnej lub nawet słabej pracy zarabiał na bardzo przyzwoite utrzymanie.

Na korytarzach dawnej Izby Sądowej, a potem Sądu Apelacyjnego widziało się nieomal codziennie wysoką suchą figurę w szarym podniszczonym garniturze. Mała sowa twarz, oczy na wierzchu, krok wolny, wymierzony. Na rozprawach nigdy słowa więcej prócz stereotypowych: „Popieram pozew, wnoszę o zasądzenie kosztów”, „Wnoszę o oddalenie pozwu i zasądzenie kosztów”. Kontakty z kolegami nikłe, można powiedzieć żadne. Zachodziłem w głowę, co to za szczególny rodzaj praktyki i dlaczego w ogóle mec. W a c o w s k i ma jakąkolwiek praktykę. Wyjaśniło się, że otrzymuje on wyłącznie sprawy korespondencyjne od kolegów z prowincji, a przy staraniu zredagowanej apelacji wystarczyła sama obecność adwokata. Za każdą „stójkę” otrzymywał mec. Wacowski 10-25 rubli i to mu zapewne wystarczyło na utrzymanie.

Jako młody człowiek, gorliwie traktujący sprawy klientów, w zasadzie dyskwalifikowałem walory mec. Wacowskiego, ograniczając swoje z nim kontakty do uprzejmego obojętnego ukłonu. Jak jednak ludzie, a specjalnie młodzi ludzie oceniają fałszywie innych, wkrótce sam się o tym przekonałem.

Tak się złożyło, że w jakiejś wyjątkowej jak dla mec. Wacowskiego sprawie musiałem z nim pokonferować. Chciał mnie odwiedzić, ale ja go przeprosiłem i oświadczyłem, że jako młodszy przyjdę do niego. Mieszkał na Ś-to Jerskiej. Podchodzę do drzwi na pierwszym piętrze. Dzwonka nie ma. Nieśmiało biorę za klamkę, drzwi same się otwierają. Przy wejściu pokój z oknem służący za przedpokój, w pokoju kurz i coś stanowiącego pozory wieszaka: na ziemi sterty książek. Otwarte drzwi do drugiego dużego pokoju, w którym taki sam stan rzeczy: pośrodku duże biurko, na krzesłach i na podłodze sterty książek. Zza biurka patrzą mądre, wnikliwie oczy i ta sama, dobrze mi znana sylwetka. Z niezwykle galanterią gospodarz wita gościa, który mógłby być jego synem. Ucinamy dłuższą rozmowę, poznajemy się bliżej. Ze zdziwieniem stwierdzam, że ta obojętna dotychczas dla mnie sylwetka to wielka inteligencja, kolosalna znajomość literatury z przewagą angielskiej, a przede wszystkim dobry, bardzo dobry człowiek. Zdaje się, że był kawalerem. Nigdy i nigdzie nie zauważyłem, aby udzielał się towarzysko. Czasami bywał na kawie w cukierni Wroczyńskiego (róg Podwala i Senatorskiej), słynnej z wypieku ciast ponczowych. U Wroczyńskiego zbierało się towarzystwo tego samego mniej więcej pokroju; a więc przede wszystkim emeryci i mieszkańcy Starego Miasta w tabaczkowych, długich surdutach. (...)